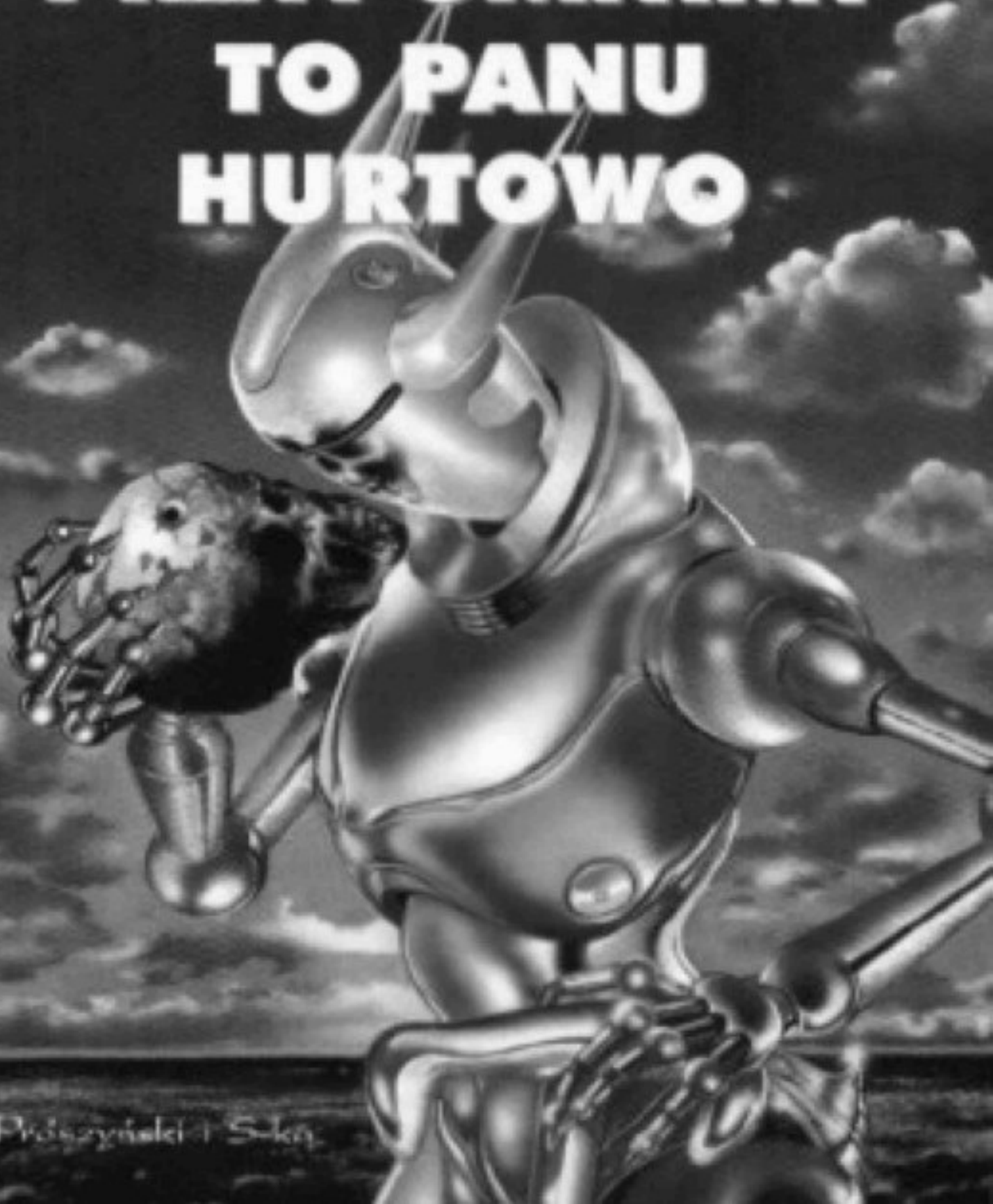


Philip K. Dick

PRZYPOMNIMY

TO PANU

HURTOWO



DICK PHILIP K.

Przypomnimy to panu hurtowo

PHILIP K. DICK

Obudzil sie... i zapragnal Marsa. Te doliny, pomyslal. Jak by sie czul, z trudem pokonujac ich zbocza? Wspaniale i jeszcze raz wspaniale. Sen rozrastal sie, przenikal swiadomosc. Sen i tesknota. Mial wrazenie namacalnej bliskosci innego swiata, który mogli zwiedzac tylko rzadowi agenci i ludzie na stanowiskach. Nie dla niego ten swiat, nie dla zwyklego urzednika.

–Wstajesz, czy nie? – zapytala ospale jego zona Kirsten, z normalna u niej gniewna zawzietoscia. – Jak wstaniesz, to włącz kawę w tej cholерnej maszynie.

–Dobrze – powiedzial Douglas Quail, czlapiac na bosaka z sypialni do kuchni ich mieszkadla. Poslusznie wcisnal guzik od kawy, usiadl przy stole i wyjal malutka, zółta puszke pierwszorzednej tabaki Dean Swift. Chciwie wciagnal szczypte; mieszanka Beau Nash podraznila mu nozdrza i górna warge. Zaciagnal sie jednak: to rozbudzilo go na dobre i sprawilo, ze sny, marzenia i zachcianki nabraly pozorów sensu.

–Pojade tam – rzekl do siebie. – Zobacze Marsa przed smiercia.

Oczywiscie nie mial najmniejszych szans. Wiedzial o tym, nawet gdy oddawal sie marzeniom. Swiatlo dnia, zwyczajne domowe odglosy, zona czeszaca sie przed lustrem – wszystko sprzysieglo sie, by wypominac mu, kim jest.

–Zaloszny urzedas ze smieszna pensyjka – mruknal z gorycza. Kirsten przypominala mu o tym przynajmniej raz dziennie, ale nie mial jej tego za zle. Taka byla rola zony: sprowadzac meza na Ziemie. Sprowadzac na Ziemie – zasmial sie. Trafna metafora.

–Z czego sie cieszysz? – spytala Kirsten wkraczajac do kuchni. Jej dlugi, jadownicie różowy szlafrok powiewal przy kazdym ruchu. – Znowu cos ci sie snilo. To u ciebie normalne.

–Tak – odpowiedzial patrzac w okno.

Ulica sunely pasma ruchu i poduszkowce; wszyscy ci mali, energiczni ludzie spieszyli do pracy. Za chwile bedzie jednym z nich. Jak co dzien. Zona poslala mu miadzace spojrzenie.

–Zalozę sie, ze jakas kobieta – powiedziala.

–Nie – odparl. – To bóg. Bóg wojny. Ma wspaniale kraterzy, a w nich, gleboko, kwitna różne rosliny.

–Sluchaj – powiedziala powaznie Kirsten, gdy przysiadla obok niego. Jej glos byl przez moment pozbawiony zwyklego szorstkosci.

–Dno oceanu, naszego oceanu, jest stokroć piękniejsze. Wiesz o tym. Wszyscy wiedzą. Trzeba tylko załatwić sprzęt podwodny i moglibyśmy zrobić sobie tydzień wakacji, w którymś z tych glebinowych kurortów czynnych cały rok. W dodatku... – urwała. – Nie słuchasz mnie. A powinieneś. Tutaj masz coś o wiele lepszego niż ten cały twój Mars, a ty nawet nie chcesz mnie słuchać! – jej podniesiony głos brzmiał piskliwie. – Mój Boże, przecież ty jesteś stracony, Doug! Co się z tobą dzieje?

–Idę do pracy – powiedział wstając. Śniadanie zostawił nietknięte. – to się ze mną dzieje. Patrzyła na niego.

–Z tobą jest coraz gorzej. Z dnia na dzień ogarnia cię coraz większa obsesja. Do czego to prowadzi?

–Na Marsa – powiedział i otworzył drzwi szafy, by znaleźć czystą koszulę.

Douglas Quail wysiadł z taksówki i wolnym krokiem przeciął trzy pasma ruchu pieszego kierując

się w stronę efektownych drzwi wejściowych, które jakby zapraszały do środka. Przed wejściem

zatrzymał się, hamując poranny ruch, i uważnie przeczytał neonowy napis pulsujący zmiennymi

kolorami. Kiedyś już mu się przyglądał, ale nigdy jeszcze nie podszedł tak blisko. Teraz było

inaczej. Zdecydował się. To musiało nastąpić, wcześniej czy później.

REMINISCENTER INCORPORATED Czy właśnie tego szukał? Przecież każda iluzja, nawet najbardziej przekonująca, pozostaje iluzją. Przynajmniej obiektywnie. A subiektywnie? Dokładnie na odwrót.

W każdym razie był tu umówiony za pięć minut. Głęboko odetchnął lekko zanieczyszczonym powietrzem Chicago i wszedł do środka, przez oslepiający blask kolorowych drzwi. W recepcji siedziała sztywna blondynka w stroju topless.

–Dzień dobry, pani Quail – odezwała się miłym głosem. – Jestem umówiony. Przyszedłem

dowiedzieć się czegoś o metodzie Remiscenter.

Chodzi panu o metodę reminiscencji? – recepcjonistka podniosła słuchawkę wideotelefonu i przytrzymała ją gładkim ramieniem. Pan McClane? Przyszedł pan Douglas Quail. Może wejść? Nie jest za wcześnie?

–Gagni gego gze – zabrzczał w odpowiedzi telefon.

–Tak, moze pan wejśc. Pan McClane czeka – oznajmila dziewczyna z recepcji. Douglas odchodzil niepewnie, wiec zawolala za nim:

–Pokój D, na prawo.

Po nieprzyjemnej chwili niepewnosci znalazl wlasciwe drzwi. W srodku, za wielkim biurkiem z prawdziwego orzecha, siedzial dobrotliwie wygladajacy mezczyzna w srednim wieku, ubrany wedlug najnowszej mody w szary garnitur ze skórek marsjanskich zab. Sam ubiór tego czlowieka przekonal Quaila, ze trafil na wlasciwa osobe.

–Niech pan siada – McClane wyciagnal pulchna dlon i wskazal Douglasowi krzeslo po drugiej stronie biurka. – Wiec chce pan poleciec na Marsa. Doskonale. Quail usadowil sie na krzesle. Byl troche spiety.

–Nie jestem pewien, czy to jest warte swojej ceny – powiedzial.

–Za takie pieniadze wlasciwie nic nie dostaje, o ile mi wiadomo. To kosztuje prawie tyle, co prawdziwa wyprawa, pomyslal.

–Dostaje pan namacalny dowód, ze podróż sie odbyla – odparl z naciskiem McClane. – Wszystko, co potrzeba. Prosze: pokaze panu. Chwile grzebal w szufladzie swego imponujacego biurka.

–Oto odcinek biletu. – Siegnal do szarej koperty i wyjal maly, wytlaczony kartonik.

–Dowód, ze pan pojechal i wrócił. Następnie: karty pocztowe. W równym porzadku ulozyl przed Quaiem cztery ostemplowane trójwymiarowe pocztówki.

–Film. Widoki Marsa, które sfilmowal pan wypożyczona kamera. Zademonstrowal je Douglasowi.

–Plus nazwiska spotkanych tam osób. Plus pamiatki o wartosci dwustu poskredów, które

pryslemy w ciagu miesiaca. Z Marsa oczywiscie. Paszport i swiadectwa szczepienia. To jeszcze

nie wszystko – podniósł na Quaila oczy pelne entuzjazmu. – Bedzie pan absolutnie przeswiadczony

o swoim pobycie na Marsie, nie ma zadnej watpliwosci – oswiadczyl. – Nie zapamieta pan ani

naszej firmy, ani mnie; nie będzie pan nawet wiedział o swojej wizycie tutaj. To prawdziwa podróż

w wyobraźni, z gwarancją. Reminiscencje pełnych dwóch tygodni, z najdrobniejszymi

szczegółami. Proszę pamiętać: jeżeli kiedykolwiek zwatpi pan w swoją wielką przygodę na

Marsie, może pan wrócić i otrzymać pełny zwrot kosztów. Zgoda?

–Ale przecież ja tam nie byłem – powiedział Quail. – Nie byłem, bez względu na dowody, jakich mi dostarczą – westchnął ciężko. – I nigdy nie działałem jako agent Interplanu. Nie mógł uwierzyć, że zapis fałszywych wspomnień, dokonany w Reminiscenter, sprawdzi się. Choć słyszał, co o tym opowiadano.

–Panie Quail – cierpliwie tłumaczył McClane. – Czytałem pański list. Nie ma pan żadnych szans, najmniejszej możliwości, by naprawdę dostać się na Marsa. Pana na to nie stać. Co więcej, zupełnie nie nadaje się pan na tajnego agenta czy to Interplanu, czy czegoś innego. Proponujemy jedyny sposób, w jaki można spełnić to... – chrząknął – marzenie życia. Prawda? Nie będzie pan tym, kim chce, i tam, gdzie chce. Ale – zaśmiał się – pan b y l. Już my się o to postaramy. Cena w granicach rozsądku, bez dodatkowych opłat – uśmiechnął się zachęcająco.

–Czy fałszywe wspomnienia są aż tak przekonujące? – spytał Quail.

–Lepsze niż prawdziwe. Załóżmy, że pan naprawdę był kiedyś na Marsie jako tajny agent Interplanu. Do tej pory z pewnością zapomniałby pan bardzo wiele. Nasza analiza systemów prawdy pamięciowej – czyli autentycznych wspomnień z najważniejszych momentów w życiu danej osoby – wykazuje, że mnóstwo szczegółów ginie na zawsze. Natomiast to, co oferujemy, obejmuje przeżycia wszczepiane tak głęboko, że zapamiętuje się wszystko. Podamy panu pod narkozą dzieło świetnych ekspertów: ludzi, którzy całe lata spędzili na Marsie; zresztą w każdym przypadku sprawdzamy wszystkie najdrobniejsze detale. Wybrał pan sobie niezbyt trudny wariant wspomnień. Gdyby zdecydował się pan na Plutona, albo zapragnął być Imperatorem Sojuszu Planet Środka, mielibyśmy poważniejsze kłopoty. No i opłata byłaby o wiele wyższa. Quail sięgnął po portfel do kieszeni płaszcza.

–W porządku. Nigdy naprawdę nie zaspokoje tej mojej życiowej ambicji. Muszę więc brać, co dają.

–Ale proszę nie myśleć o tym w ten sposób – powiedział surowo McClane. – Nie kupuje pan byle czego. Prawdziwe wspomnienia, z ich podtekstami, białymi plamami, niejasnością, nie mówiąc o zniekształceniach, to jest dopiero byle co. Przyjął

pieniadze i nacisnal guzik na biurku.

–Wobec tego, panie Quail... – zaczął, gdy otworzyły się drzwi i do środka weszli szybkim krokiem dwaj postawni mężczyźni – jest pan tajnym agentem, który leci na Marsa. Wstał i podszedł do Quaila, by uścisnąć jego zwilgotniałą, drżąca dłoń.

–Albo raczej: poleciał pan. Dzisiaj o szesnastej trzydziestej nastąpi powrót na naszą Ziemię; taksówka odwiezie pana do mieszkania. Podkreślam: nie będzie pan pamiętał ani mnie, ani swego przyjscia tutaj, jakby nasza firma w ogóle nie istniała.

Technicy wyszli z pokoju, Quail za nimi. Od nich zależało co się z nim stanie. Zaschło mu w gardle ze zdenerwowania. Czy naprawdę uwierze, że był na Marsie? zastanawiał się. I będzie myślał, że udało mu się zrealizować marzenie mego życia? Cały czas miał dziwne przeczucie, że coś pójdzie nie tak. Ale nie miał pojęcia co. Nie dowiedział się tego od razu. Na biurku McClane'a zabrzeczał aparat wewnętrznego systemu łączności. Jakiś głos powiedział:

–Pan Quail jest już pod narkozą, proszę pana. Czy możemy zacząć? A może chciałby pan osobiście to przeprowadzić?

–Przecież nie ma w tym nic nadzwyczajnego – odrzekł McClane. – Możecie zacząć, Lowe. Nie powinniście mieć żadnych kłopotów.

Programowanie sztucznych wspomnień z podróży na inną planetę, z dodatkiem roli agenta lub bez, pojawiała się w rozkładzie pracy firmy z monotonna regularnością. W ciągu miesiąca musimy

robić ze dwadzieścia takich programów, obliczył McClane i skrzywił się. Zastępca podróży międzyplanetarna to dla nas chleb z masłem.

–Jak pan sobie życzy – odezwał się głos Lowe'a, po czym interkom się wyłączył. W podziemnym pomieszczeniu obok biura McClane znalazł zestaw nr 3, "podróż na Marsa" i zestaw nr 62, "tajny agent Interplanu". Wrócił z nimi na górę, usiadł wygodnie i wysypał zawartość opakowań na biurko. Wszystkie te przedmioty zostaną umieszczone w mieszkaniu Quaila, podczas gdy technicy będą zajęci zapisem sztucznych wspomnień. Tajna rzeczona broń -największa rzecz w zestawie. I najwięcej nas kosztuje, pomyślał McClane. Nadajnik wielkości tabletki: agent może go połknąć w razie wpadki. Książeczka szyfrów, do złudzenia przypominająca prawdziwą – kopie na użytek firmy były bardzo dokładne. Wykonano je, w miarę możliwości, na wzór prawdziwego wyposażenia Sił Zbrojnych ONZ. Reszta przedmiotów nie posiadała istotnego znaczenia, ale miała być włączona do wspomnień Quaila z jego podróży w wyobraźni. Połówka starej, srebrnej monety półdolarowej, kilka niedokładnych cytatów z kazań Johna Donne'a, napisanych na osobnych kawałkach cienkiej bibułki, zapalki-reklamówki z kilku marsjańskich

lokali, stalowa łyżeczka z napisem WLASNOSC NARODOWEGO KIBUCU "KOPULA MARSA", solenoid do podsłuchu telefonicznego, który... Zabrzeczał interkom.

–Przepraszam, że panu przeszkadzam, ale sprawy przybrały zły obrót. Może jednak powinien pan przy tym być. Quail jest pod narkozą, dobrze znosi narkidryne, jego świadomość jest wyłączona, umysł chłonny, ale...

–Juz ide. – McClane czuł, że sprawa może być poważna. Opuścił biuro i po chwili był w laboratorium.

Na kozetce leżał Douglas Quail. Oddychał wolno i regularnie; oczy miał prawie zamknięte. Prawdopodobnie tylko w nikłym stopniu zdawał sobie sprawę z obecności dwóch techników i z przybycia McClane'a.

–Nie ma miejsca na zapis sztucznych wspomnień? – McClane czuł wzrastającą irytację. – Po prostu wyrzucie dwa tygodnie pracy. On jest zatrudniony w Biurze Emigracyjnym Zachodniego Wybrzeża. To agencja rządowa, więc na pewno przysługują mu dwa tygodnie urlopu w roku. Tyle wystarczy. Zawsze złościło go robienie problemu z drobnostki.

–Nasze trudności są innego rodzaju – ostrym tonem stwierdził Lowe. Schylił się i poprosił Quaila:

–Powiedz panu McClane to samo, co nam. Niech pan słucha uważnie – to już było do dyrektora. Mężczyzna leżący na kozetce skierował wzrok na twarz McClane'a. Ten poczuł się niepewnie pod twardym spojrzeniem szarzielonych oczu, które błyszczały zimno jak oszlifowane kamyki.

–Czego chcesz? – warknął Quail. – Zdemaskowaliście mnie. Wynoscie się, bo was rozniósł na strzępy. – Przyglądał się McClane'owi. – Najpierw ciebie. To ty dowodzisz tą akcją.

–Ile czasu byłeś na Marsie? – spytał Lowe.

–Miesiąc – odrzekł Quail z rozdrażnieniem.

–Co tam robisz? – pytał dalej Lowe.

Quail milczał i patrzył na niego. Wąskie wargi wykrzywił mu grymas. Wreszcie wycedził z nienawiści:

–Byłem agentem Interplanu. Już mówiłem. Nie nagrywajcie tego, czy co? Włącz magnetowid, a

mnie zostaw w spokoju.

Zamknal oczy. Zimny blask znikl. McClane natychmiast poczul wielka ulge.

–To jest twardy facet – powiedzial cicho Lowe.

–Przestanie byc twardy – odrzekl McClane – po tym, jak znów skasujemy mu ten zapis w pamieci. Bedzie tak samo nieszkodliwy, jak byl. – Zwrócił sie do Quaila:

–A wiec to dlatego tak bardzo chcial pan poleciec na Marsa. Z oczami wciaz zamknietymi, Quail odpowiedzial:

–Wcale nie chcialem leciec na Marsa. To byl rozkaz. Kazali mi i musialem. No jasne, przyznaje, bylem ciekaw, jak to bedzie. Któz by nie byl? Otworzył jeszcze raz oczy i dokladnie przyjrzał sie calej trójce, zwlaszcza McClane'owi.

–Niezle te wasze prochy. Dotarły do mnie rzeczy, o których nie mialem pojecia. Chwile sie zastanawial.

–Mysle o Kirsten – powiedzial jakby do siebie. – Czy ona jest z nimi? Wtyczka Interplanu, która ma na mnie oko, gdyby czasem cos mi sie przypomnialo. Nic dziwnego, ze sie ze mnie nabijala, gdy mówilem o Marsie.

Przez krótki moment mial na twarzy slaby usmiech zrozumienia. Prosze mi wierzyc, panie Quail -powiedzial McClane – trafilismy na pana calkiem przypadkowo. W naszej pracy...

–Wierze panu. Quail wygladal na zmeczonego. Dzialanie narkotyku bylo coraz silniejsze.

–Powiedzialem, ze bylem gdzie? – zamruczal. – Na Marsie? Nie pamietam. Wiem, ze chcialbym tam pojechac. Kazdy by chcial. Ale ja...zamilkl na chwile. – Zwyczajny urzedas. Lowe wyprostowal sie i zwrócił do swego szefa:

–On potrzebuje falszywych wspomnien, które pokrywaja sie z tym, co naprawde przezył.

Falszywy powód tych przezyc jest prawdziwy. Facet nie klamie, jest w glebokim transie po

narkidrynie. Swietnie przypomina sobie te wyprawe, przynajmniej pod narkoza. Normalnie – nic

nie pamietal. Prawdopodobnie w wojskowych laboratoriach pracujacych dla rządu wyczyszczono

mu pamiec. Dlatego wiedzial jedynie, ze Mars ma dla niego znaczenie specjalne,

podobnie jak rola

tajnego agenta. Tego nie mogli wymazać, bo to tylko marzenia, a nie zapis realnych przeżyć. Z

powodu tych marzeń Quail naprawdę został kiedyś agentem Interplanu.

–Co robimy? – spytał drugi z techników, Keeler. – Mamy nałożyć zapis fałszywych wspomnień na prawdziwe? Wiadomo, czym to grozi: będzie pamiętał część autentycznych doświadczeń i sprzeczne wspomnienia mogą spowodować psychozę. Jego pamięć miałaby dwie równoległe ścieżki: jednocześnie był i nie był na Marsie, jest i nie jest agentem. Myślę, że powinniśmy go tak zostawić. Nic nie programować, tylko obudzić i odesłać stąd jak najprędzej. To nie przelewki.

–W porządku – zgodził się McClane. Po chwili zastanowienia spytał:

–Czy można przewidzieć, co on sobie przypomni, gdy go obudzimy?

–To jest nie do przewidzenia – stwierdził Lowe. – Prawdopodobnie będzie coś pamiętał ze swej autentycznej podróży, jak przez mgłę. Prawdziwość wspomnień wyda mu się bardzo wątpliwa; pomyśli pewnie, że coś się omyśliło w naszym programowaniu. I będzie wiedział, że tu przyszedł; nie skasujemy tego, chyba że pan zezwoli.

–Im mniej będziemy zajmować się tym facetem, tym lepiej. To nie nasza sprawa. Przez głupotę czy może raczej pecha udało się nam wykryć prawdziwego agenta Interplanu, zamaskowanego tak doskonale, że sam nie wiedział, kim był. A raczej jest. Dla ich własnego dobra najlepiej było czym prędzej pozbyć się człowieka, który używał nazwiska Douglas Quail.

–Czy ma pan zamiar podrzucić zestawy nr 3 i 62 w jego mieszkadło? – spytał Lowe.

–Nie – odrzekł McClane. – I zwrócimy mu połowę kosztów.

–Połowe? Dlaczego połowe?

–To chyba niezły kompromis – słabym głosem odparł McClane.

Taksówka wiozła Douglasa Quaila do jego mieszkadła, które mieściło się w lokatorskiej dzielnicy Chicago.

–Jak to dobrze wrócić znów na Terre – powiedział do siebie Quail. Niektóre wrażenia

miesięcznego pobytu na Marsie zaczęły się już zacierać w jego pamięci. Głównie

przypominal

sobie ziejące glebia kraterzy i wszystko wokół przezarte zębem czasu: zamarłe życie i wzgórz w

bezruchu. Zakurzony świat, gdzie nic się nie działo, a większość dnia człowiek spędzał na

sprawdzaniu własnego aparatu tlenowego. I prymitywne formy życia, mało rzucające się w oczy:

szarobrazowe kaktusy i dżdżownice. Nawet przywiózł ze sobą kilka zamierających okazów

marsjańskiej fauny. Przemyślił je przez kontrole. W końcu nie były groźne; i tak nie miały szans

przeżycia w gęstej atmosferze Ziemi.

Zaczął szperać w kieszeni płaszcza w poszukiwaniu pudełka z dżdżownicami. Zamiast tego znalazł kopertę. Odkrył w niej, ku swojemu zdumieniu, sumę pięciuset siedemdziesięciu poskładów, w bonach o niskim nominale.

–Skąd ja to mam? – usiłował dociec. – Przecież wydałem wszystko, do ostatniego kreda. Z koperty wysunął się pasek papieru z napisem "zwrot połowy kosztów" i z datą. Dzisiejsza.

–Reminiscencje!

–Nie rozumiem, proszę pana-pani – powiedział z szacunkiem automatyczny kierowca.

–Czy jest tu książka telefoniczna?

–Oczywiście, proszę pana-pani. Otworzyła się szufladka; leżała w niej kasetka ze spisem telefonów okręgu Cook.

–To się pisze chyba razem – Quail kartkował spis instytucji. Poczuli, że ogarnia go strach.

–Mam – oświadczył. – Proszę zawieźć mnie do Reminiscenter Incorporated. Zmieniłem zamiar, nie jadę do domu.

–Tak jest, proszę pana-pani. Za chwilę taksówka mknęła już w przeciwnym kierunku.

–Czy moze skorzystac z telefonu?

–Prosze czuc sie jak u siebie w domu.

Automatyczny kierowca podsunal Douglasowi blyszczacy telefon z trójwymiarowym, kolorowym obrazem. Quail wystukal numer swojego mieszkadla. Po chwili stanal przed nim zmniejszony, ale przerazliwie realistyczny wizerunek Kirsten.

–Bylem na Marsie – oznajmil Quail.

–Jestes pijany – wykrzywila usta z pogarda. – Albo gorzej.

–Jak Boga kocham.

–Kiedy?

–Nie wiem – poczul zmieszanie. – Podróż byla, zdaje sie symulowana. W jednej z tych agencji od falszywych wspomnien, czy czegos takiego. To sie nie udalo. Kirsten zmiadzyla go spojrzeniem.

–Jednak jestes pijany – powiedziala i wylaczyla sie.

Quail odstawil telefon i poczul rumieniec na twarzy. Wciaz ten sam ton, powiedzial do siebie ze zloscia. Zawsze wszystko wie lepiej. Co za malzenstwo, Chryste Panie, pomyslal smutno. Wkrótce taksówka zatrzymala sie przed nowoczesnie efektownym, niewielkim różowym budynkiem, nad którym kolorami pulsowal ruchomy neon: REMINISCENTER INCORPORATED. Recepcjonistka, elegancko ubrana od pasa w dól, az podskoczyla ze zdumienia, ale blyskawicznie

sie opanowala.

–O, witamy, panie Quail – z jej. glosu przebijalo zdenerwowanie.

–J-jak sie pan miewa? Czy czegos pan zapomnial?

–Reszty sumy, która zaplacilem.

–Zaplacil pan? – spytala, teraz juz calkiem opanowana. – To chyba pomyłka, panie Quail. Byl pan tutaj, by przedyskutowac mozliwosc podróży w wyobrazni, ale... – wzruszyla gladkimi ramionami

–o ile dobrze rozumiem, skonczylo sie na rozmowie.

–Pamietam wszystko, moja panno – powiedzial Quail. – Mój list do Reminiscenter Incorporated, od którego to sie zaczelo. Pamietam moje przyjscie tutaj i rozmowe z panem McClane'em. Potem zajeli sie mna dwaj technicy i czymś mnie uspili. Nic

dziwnego, że firma zwróciła mi połowę opłaty. Falszywe wspomnienia z "wypaawy na Marsa" nie przyjęły się, jak należy, wbrew wcześniejszym zapewnieniom.

–Panie Quail – powiedziała dziewczyna – zwykły z pana urzędnik, ale za to całkiem przystojny mężczyzna. Złość wykrzywia panu szlachetne rysy. Jeżeli to coś pomoże, mogę przyjąć pana zaproszenie, na, powiedzmy kolację... Douglas poczuł wściekłość.

–Ciebie też pamiętam – warknął rozjuszony. – Na przykład to, że malujesz sobie piersi na niebiesko. I nie zapomniałem, co pan McClane mi obiecał: że jeśli zapamiętam moją wizytę w Reminiscenter, dostanę forse z powrotem, całą sumę. Gdzie jest McClane? Zwlekali tak długo, jak mogli, ale wreszcie Quail znalazł się znów na krześle naprzeciw okazalego orzechowego biurka, w takiej samej pozycji, w jakiej siedział tu parę godzin wcześniej.

–Do niczego ta wasza metoda – oświadczył pogardliwie. Jego rozczarowanie i oburzenie rosło coraz bardziej. – Moje tak zwane "wspomnienia" z podróży na Marsa, w charakterze tajnego agenta, są niewyraźne, metne i pełne sprzeczności. Natomiast pamiętam świetnie wszystkie moje kontakty i tutejszymi pracownikami. Powinienem z tym pójść do federacji konsumentów. Palila go złość. Czuł się oszukany: to przewyciężyło w nim zwykła niechęć do kłótni w miejscach publicznych. Spojrzenie McClane'a było uważne i smutne.

–Poddajemy się, Quail. Zwrócimy panu resztę opłaty. Przyznaje, że zupełnie nie wywiązałem się z zobowiązań – powiedział z rezygnacją.

–Nawet nie dostarczyliście mi tych obiecanych przedmiotów – Quail ciągnął oskarżycielskim tonem – które miały być "dowodem" mojego pobytu na Marsie. Wszystkie te obietniczki jakos się nie zmaterializowały, w postaci choćby jednej rzeczy. Żadnego biletu. Żadnych pocztówek, paszportu, świadectwa szczepienia...

–Proszę posłuchać, Quail – przerwał McClane. – Gdybym panu powiedział... – zawiesił głos. – A, niech tam. Nacisnął palcem guzik interkomu.

–Shirley, proszę wypłacić jeszcze pięćset siedemdziesiąt poskredów, w postaci czeku na nazwisko Douglas Quail. Dziękuję – zdjął palec z guzika, po czym spojrzał na Quaila. Wkrótce pojawił się czek, recepcjonistka położyła go przed McClane'em i znikła z pola widzenia. Dwaj mężczyźni zostali sami, siedząc wciąż twarzą w twarz, oddzieleni masywnym orzechowym biurkiem.

–Chciałbym coś panu poradzić – powiedział McClane podpisując czek, zanim podsunał go

Quailowi. – Niech pan z nikim nie rozmawia o tej swojej... wyprawie na Marsa.

–Jakiej wyprawie?

–No własnie – brnal dalej McClane. – O wyprawie, która pan czesciowo pamietasz. Niech pan udaje,

ze o niczym nie wie, ze to nigdy nie miało miejsca. Proszę nie pytać dlaczego, po prostu przyjąć moją radę. Tak będzie lepiej dla nas wszystkich. – Zaczął się pocić. Obficie. – A teraz, panie Quail, mam jeszcze parę spraw do załatwienia, innych klientów. Wstał i odprowadził Douglasa do wyjścia. W progu Quail powiedział:

–Firma, która tak niedźnie pracuje, nie powinna mieć żadnych klientów.

I wyszedł.

McClane zamknął za nim drzwi. Jadąc taksówką do domu Douglas Quail układał w myśli skargę do Federacji Konsumentów, Oddział Terra. Zaraz siadł przy maszynie do pisania. Było jego obowiązkiem uprzedzić innych o jakości usług firmy Reminiscenter Incorporated. Gdy tylko przekroczył próg mieszkania, natychmiast usiadł przy swojej przenośnej Hermes Rocket i wysunął szuflady biurka w poszukiwaniu kalki.

Wtedy zauważył małe, znajome pudełeczko, to, które napełnił okazami fauny marsjańskiej i przeschłupował przez pas kontroli. Zdjął wieczko i z niedowierzaniem patrzył na sześć martwych dżdżownic i ich pożywienie, czyli różne organizmy jednokomórkowe. Pierwotniaki były zasuszone i przypominały kurz, ale rozpoznał je. Ich zbieranie zajęło mu cały dzień; godzinami szperał wśród bezliku ciemnych, dziwnych kamyczków. Wspaniała, pouczająca wyprawa odkrywcza. Tylko, że ja nie byłem na Marsie, uprzytomnił sobie. Ale z drugiej strony... W drzwiach pokoju stała Kirsten, obciążona zakupami.

–Dlaczego w środku dnia siedzisz w domu? – W jej głosie brzmiał odwieczny wyrzut.

–Ty będziesz wiedziała! Czy ja byłem na Marsie?

–Skąd, jasne, że nie byłeś. Gdybyś był, to sam byś wiedział. Przecież ciągle jeczysz, że chciałbyś tam pojechać.

–Na Boga, wydaje mi się, że tam byłem – powiedział. I po chwili dodał: – I jednocześnie myślę, że nie byłem.

–Zdecyduj się.

–Jak? – rozłożył ręce. – Moja pamięć ma dwie ścieżki: na jednej jest prawda, na drugiej nieprawda. Nie umiem stwierdzić, która jest która. Dlaczego nie mogę ci

zaufac? Ty nie masz z nimi nic wspólnego.

Dlaczego nie miałaby mu pomóc? Nigdy nic dla niego nie zrobiła. Równym opanowanym głosem Kirsten oświadczyła: – Doug, jeżeli nie wezmiesz się w garść, z nami koniec. Odchodzi.

–Mam kłopoty – ochryply głos Douglasa drzał. – Prawdopodobnie popadam w psychozę. Mam nadzieję, że nie, ale... to by wszystko wyjaśniało. Kirsten postawiła zakupy na podłodze i podeszła do szafy.

–Ja nie żartowałam – powiedziała cicho. Wyjęła płaszcz, ubrała się i zaczęła iść w stronę drzwi wyjściowych.

–Niedługo do ciebie zadzwonię – jej głos był bezbarwny. – Zegnaj, Doug. Mam nadzieję, że się z tego wyciągniesz. Oby tak się stało. Dla twojego dobra.

–Zaczekaj! – zawołał z rozpaczą. – Tylko mi powiedz, rozstrzygnij: byłem czy nie? Ale przecież oni mogli jej też zmienić pamięć. Drzwi trzasnęły. Zona odeszła. Nareszcie! Z tyłu dobiegł go głos:

–No, to po wszystkim. Teraz raczki do góry, Quail, i odwróć się łaskawie w tę stronę. Odwrócił się instynktownie, nie podnosząc rąk. Stojący przed nim mężczyzna miał mundur w kolorze sliwki, noszony przez ludzi z Agencji Policji Interplanetarnej, a jego broń pochodziła z wyposażenia Sił Zbrojnych ONZ. Natychmiast wydał się Quailowi znajomy, z jakichś niejasnych powodów, których nie mógł sobie przypomnieć. Gwałtownym ruchem uniósł ręce.

–Pamiętasz swoją podróż na Marsa – powiedział policjant. – Wiemy, co dziś robisz, i znamy wszystkie twoje myśli. Szczególnie te najistotniejsze, które przyszły ci do głowy w taksówce, gdy wracałeś z Reminiscenter. W twojej czaszce jest nadajnik telepatyczny. Informuje nas na bieżąco. Nadajnik telepatyczny! Wykorzystanie żywej plazmy odkrytej na Lunie. Wzdrygnął się ze wstretu do siebie samego. To coś żyło w nim, w jego mózgu, odbierało i wysyłało myśli. A policja Interplanu robiła z tego użytek. Było nawet coś na ten temat w gazetach. Więc to pewnie smutna prawda.

–Dlaczego ja? – ochryple zapytał Quail. Co takiego zrobił? – czy pomyślał? I co miał z tym wspólnego Reminiscenter?

–W zasadzie Reminiscenter nie ma tu nic do rzeczy – odpowiedział gliniarz z Interplanu. – To sprawa między nami a tobą. – Dotknął palcami prawego ucha. – Cały czas odbieram sygnały twoich procesów myślowych, wysyłane przez nadajnik cefaliczny. W jego uchu Quail zobaczył małą wtyczkę z białego plastiku.

–Muszę więc ci ostrzec – ciągnął policjant. – "Cokolwiek pan pomyśli, może być użyte przeciwko panu" – uśmiechnął się. – Zreszta to nie ma znaczenia;

nieświadomie pomyslales i powiedziales juz wystarczajaco duzo... Niepokoi nas, ze tam, w Reminscenter, pod wplywem narkidryny, wszystko im wyspiewales. Technicy i wlasciciel, McClane, wiedza, gdzie byles, kto cie wyslal i mniej wiecej, co tam robiles. Sa niezle wystraszeni. Zaluja, ze w ogóle nawinales sie im na oczy. I maja racje -dorzucil w zadumie.

–Nie bylem na Marsie – oswiadczył Quail. – To falszywe reminiscencje, zle zaprogramowane przez techników McClane'a.

W tym momencie pomyslal o pudelku w szufladzie biurka, zawierajacym okazy fauny z Marsa. I o wysilku przy ich zbieraniu. To wspomnienie wydawalo sie realne. No i pudelko naprawde istniało. Chyba, ze McClane je podrzucil. Moze to byl jeden z jego "dowodów", o których tak barwnie opowiadal.

Wszystko, co pamietam z podrózy na Marsa, jest jakies nieprzekonywajace, pomyslal. Przekonalo, niestety, policje Interplanu. Oni wierza, ze naprawde bylem na Marsie i ze czesciowo zdaje sobie z tego sprawe.

–Nie tylko wiemy, ze byles na Marsie – potwierdzil policjant w odpowiedzi na jego mysli. –

Wiemy, ze pamietasz wystarczajaco duzo, zeby narobic nam klopotów. I nie ma sensu ponowne

wymazywanie pamieci, bo potem i tak zjawisz sie znów w Reminscenter i bedzie od nowa to

samo. Nie mozemy nic zrobic McClane'owi i jego ludziom, bo oni nam nie podlegaja.

–Zreszta McClane nie popelnil przestepstwa. – Spojrzal na Quaila. – Formalnie, ty tez nie popelniles. Nie poszedles do nich, zeby odzyskac pamiec. Byles tam, jak sadzimy z tego samego powodu, co wszyscy: zwyklych, szarych ludzi pociaga wielka przygoda. Po chwili dodal:

–Ale ty, niestety, nie jestes zwyklym, szarym czlowiekiem, a przygód miales az za wiele. Usługi Reminscenter akurat tobie byly najmniej potrzebne. I najbardziej zgubne, dla ciebie i dla nas. No i dla McClane'a.

–Dlaczego to jest dla was klopotliwe, ze pamietam moja rzekoma wyprawe na Marsa? Co ja takiego zrobilem?

–Po prostu – odpowiedzial policjant z Interplanu – wykonane przez ciebie zadanie klóci sie z opinia, jaka ma o nas spoleczenstwo: ze jestesmy jak dobry, opiekunczy ojciec. Zrobiles dla nas cos, czego my nigdy nie robimy. Przypomnisz sobie, dzieki narkidrynie. Pudelko ze zdechlymi dzdzownicami spokojnie lezalo w twoim biurku

przez szesc miesiecy, od chwili twojego

przyjazdu. Nigdy sie nim nie interesowales. Nawet nie wiedzielismy, ze masz te smiecie, dopóki o

nich nie pomyslales, gdy wracales taksówka z Reminiscenter. Natychmiast przyjechalismy, zeby

odnalezc pudelko. Niestety, za późno – dodal niepotrzebnie.

Zjawil sie jeszcze jeden gliniarz z Interplanu, podszedl do pierwszego i chwile sie naradzali. Quail

rozmyslal pospiesznie. Teraz wiecej sobie przypominal.

Policjant mial racje mówiac o spóźnionym działaniu narkidryny. Ci z Interplanu chyba sami jej

uzywali. Chyba? Wiedzial z cala pewnoscia: przeciez widzial, jak wstrzykiwali ja aresztowanym.

Gdzie to sie dzialo? Czy to byla Terra? Nie, raczej Luna, zdecydowal przywołujac ciagle jeszcze

niewyraźne obrazy w szybko powracającej pamięci.

I przypomniał sobie cos jeszcze: po co wyslali go na Marsa i jakie zadanie wykonął.

Nic dziwnego, ze wymazali mu pamiec.

–Rany boskie – powiedzial pierwszy gliniarz, przerywajac rozmowe z kolega. Z pewnoscia

odczytal mysli Quaila.

–Teraz to prawdziwy klops, stalo sie najgorsze. Podszedl do Quaila, znowu trzymajac go na muszce.

–Musimy cie zabic – powiedzial. – I to zaraz.

–Dlaczego zaraz? – wtracil sie nerwowo kolega-policjant. – Zabierzmy go do siedziby Interplanu w Nowym Jorku i niech oni...

–On dobrze wie dlaczego zaraz – odrzekl pierwszy gliniarz. Tez byl niespokojny, ale jak zauwazyl Quail, zupełnie z innego powodu. Pamięc wróciła Douglasowi niemal całkowicie. I świetnie rozumiał zdenerwowanie policjanta.

–Na Marsie – powiedział szorstko – zabiłem człowieka. Po przejściu przez kordon piętnastu goryli. Niektórzy z nich byli tak uzbrojeni, jak ty. Przez pięć lat Interplan szkolił go na zawodowego mordercę. Quail potrafił unieszkodliwić uzbrojonego przeciwnika, takiego jak ci dwaj. Ten z odbiornikiem w uchu dobrze o tym wiedział.

Gdyby tak wykonać szybko ruch... Padł strzał. Quail zdążył jednak uskoczyć i w tym samym momencie powalił uzbrojonego policjanta. Po chwili miał pistolet w reku i mierzył w drugiego gliniarza, który nie bardzo jeszcze kojarzył, co się dzieje.

–Przejął moje myśli – łapiąc oddech wyjaśnił Quail. – Wiedział, co chce zrobić, a i tak to zrobiłem. Zaatakowany policjant podniósł się z podłogi.

–On cię nie zastrzeli, Sam. To też przejąłem. Jest skończony i wie, że my o tym wiemy. W porządku, Quail. Stekając z bólu z trudem stanął na chwiejnych nogach. Wyciągnął rękę do Quaila.

–Pistolet. I tak nie możesz go użyć. Jeśli oddasz, gwarantuję ci życie. Będziesz wysłuchany przez kogoś z Interplanu, niech ci na górze decydują, co z tobą zrobić. Może znów skasują ci pamięć -nie wiem. Ale rozumiesz, dlaczego chciałem cię zabić. Przypomnialesz sobie. Nie mogłem cię powstrzymać. Więc już teraz nieważne. Wciąż sciskając broń Quail wypadł z apartamentu i popędził do windy. Nie próbujcie mnie gonić, bo was zabije, pomyślał. Wcisnął guzik i po chwili drzwi kabiny zasunęły się za nim. Policja go nie goniła. Z pewnością odebrali jego krótkie, stanowcze ostrzeżenie i nie podjęli ryzyka. Winda zjeżdżała. Na razie był bezpieczny. Ale co potem? Dokąd uciec? Na parterze wysiadł i wmieszał się w tłum pieszych, podążających wzdłuż pasm ruchu. Bolała go głowa i źle się czuł. Ale przynajmniej uniknął śmierci. Przecież tam, w mieszkadzie, mogli zastrzelić go na miejscu. I pewnie znów będa próbować, myślał. Jak mnie znajda. Nie zabierze im to wiele czasu, skoro mam w głowie ten nadajnik. Żeby było śmieszniej, otrzymał dokładnie to, o co mu chodziło. Przygoda, niebezpieczeństwo, policja Interplanu w akcji,

tajemnicza podróż na Marsa, w której ryzykował głowę – tego właśnie chciał od Remiscenter.

Teraz mógł w pełni docenić zalety przygód przeżywanych wyłącznie we wspomnieniach. Siedział

na ławce w parku i patrzył tępo na stado pertów – pólptaków przywiezionych z dwóch księżyców

Marsa. Ziemska grawitacja jakos nie utrudniała im latania.

Może uda mi się dostać z powrotem na Marsa, rozważał. Ale co wtedy? Tam pewnie będzie

jeszcze gorzej. Ludzie z organizacji politycznej, której przywódce zabil, rozpoznają go, gdy tylko

wysiadzie ze statku. Bada go scigać: i Interplan, i tamci.

Słyszycie moje myśli? zastanawiał się. Prosta droga do paranoi. Siedział tu sam i czuł, że go

namierzają, podsłuchują, nagrywają... Poczul dreszcz. Wstał, zaczął iść bez celu, z rękami głęboko

w kieszeniach. Nieważne dokąd, uznał. I tak się was nie pozbede. Dopóki mam w głowie to

swinstwo. Spróbujcie się z wami dogadać – te myśli skierował do siebie i do nich zarazem. Może

możlibyście jeszcze raz zaprogramować mi sztuczna pamięć?

Ze zylem zwykłym życiem i nigdy nie byłem na Marsie? Ze nigdy nie widziałem z bliska munduru

Interplanu i nie miałem broni w ręku? Głos w jego mózgu odpowiedział:

–Juz ci wyjaśniano. To nie wystarczy. Ze zdumienia przystanął.

–Kiedys porozumiewaliśmy się z tobą w ten sposób – głos mówił dalej. – Gdy wykonywałeś zadanie na Marsie. Od tego czasu minęły miesiące i nie sadyliśmy, że znów będzie to potrzebne. Gdzie jesteś?

–Idę – odparł Quail – ku śmierci. Z rak waszych ludzi, pomyślał.

–Skąd wiecie, że to nie wystarczy? – zapytał. – Czy metody Reminiscenter zawodzą?

–Mówiliśmy ci. Gdy otrzymasz standardowe, zwyczajne wspomnienia, staniesz się niespokojny. Na pewno znów pójdiesz do Reminiscenter czy jakiejś innej firmy. Nie chcemy drugi raz takich samych kłopotów.

–A może byście spróbowali – zaproponował Quail – po wymazaniu autentycznych przeżyć, dać mi coś lepszego niż standardowe wspomnienia.

Zaspokoić moje ambicje. Przecież to one zdecydowały, że wybraлиście mnie do tej roboty. Powinnicie dostarczyć mi czegoś innego, podobnie niezwykłego. Na przykład, byłem najbogatszym człowiekiem Terry, ale oddałem wszystkie pieniądze na cele fundacji oświatowych. Albo byłem sławnym badaczem głębokiego Kosmosu.

Da sie zrobic? Cisza.

–Spróbujcie – powiedział z desperacją. – Wezcie paru najlepszych psychiatrów wojskowych, zbadajcie mi podświadomość. Odkryjcie moje największe marzenie. Zaczal sie zastanawiac.

–Kobiety. Mialem tysiace kobiet, jak Don Juan. Miedzyplanetarny playboy – w kazdym porcie dziewczyna, na Ziemi, na Lunie i Marsie. I w koncu mnie to znuzylo. Blagam, spróbujcie.

–I poddasz sie z wlasnej woli? – zapytal glos wewnatrz mózgu. – Jezeli zgodzimy sie na takie rozwiazanie? Jesli jest ono mozliwe? Po chwili wahania Quail odrzekl:

–Tak. Zaryzykuje, powiedzial do siebie. Moze mnie zwyczajnie nie zabijecie.

–Do ciebie nalezy pierwszy ruch. Oddaj sie w nasze rece, a my zbadamy mozliwosc, o której mówiles. Jezeli nie da sie tego zrobic i prawdziwe wspomnienia powróca, tak jak tym razem... -Po chwili ciszy glos dokonczyl: – Bedziemy zmuszeni cie zlikwidowac. Musisz to zrozumiec. Cóż Quail, spróbujesz?

–Tak – odrzekl. Nie bylo wyboru. W przeciwnym razie czekala go pewna smierc, a tak mial jakas nikla szanse.

–Stawisz sie w naszej siedzibie w Nowym Jorku – oswiadczył glos. – Przy Fifth Avenue 580, dwunaste pietro. Jak tylko zlozysz bron, nasi psychiatrzy zajma sie toba. Przygotujemy teksty na profil osobowosci. Postaramy sie ustalic, jakie jest twoje największe marzenie. Potem zawieziemy cie jeszcze raz do Reminiscencer i niech oni spelnia to twoje zyczenie, za pomoca falszywych wspomnien. I... powodzenia. Cos ci sie od nas nalezy, oddales nam cenne uslugi. W glosie nie bylo zlosci. Tam w Interplanie, raczej mu współczuli.

–Dzieki – odpowiedzial Quail i zaczal rozgladac sie za taksówka.

–Panie Quail – zwrócił sie do niego starszy mezczyzna o surowej twarzy. Byl psychiatra w Interplanie. – Panska podświadomość wytworzyla bardzo interesujaca fantazje, która zaspokaja pragnienie bycia kims niezwyklym. Fantazja ta nie dochodzi do panskiej swiadomosci, nie bawi sie pan nia w myslach. Znam wiele podobnych przypadków. Mam nadzieje, ze nie sprawie panu przykrosci, gdy opowiem, co pan sobie podświadomie wyobraza.

–Bardziej mu bedzie przykro, jak poczuje kulke w brzuchu – wtracil siedzacy w pokoju wyzszy oficer Interplanu.

–Nie da sie tego porównac z panskimi marzeniami, w których jest pan agentem Interplanu -kontynuowal psychiatra. – Owe marzenia, wytwór umyslu czlowieka

dojrzałego, są teoretycznie możliwe do zrealizowania.

Wspomniana fantazja zaś, to groteskowy sen z dzieciństwa. Nic dziwnego, że pan go nie pamięta. W tym śnie jest pan dziewięcioletnim chłopcem, który idzie wiejską dróżką. Nagle ląduje dziwny statek kosmiczny z innego systemu gwiazdowego. Ze wszystkich ludzi na Ziemi właśnie Douglas Quail spotyka gości z Kosmosu. Owe istoty są małe i bezradne, przypominają polne myszy. Mimo to ich zamiarem jest dokonanie inwazji na Ziemię. Wkrótce mają wystartować dziesiątki tysięcy podobnych statków, gdy tylko zwiadowcy dadzą sygnał.

–I pewnie ja ich powstrzymuję –, powiedział Quail, czując jednocześnie rozbawienie i niesmak. – Sam jeden niszczy najeźdźców. Prawdopodobnie przez rozdeptanie.

–Nie – cierpliwie odrzekł psychiatra. – Zapobiega pan inwazji, ale nie niszczy tych istot. Okazuje im pan dobroć i miłosierdzie, wiedząc, w jakim celu przybyły, gdyż porozumiewają się telepatycznie, a pan odczytuje ich myśli. Nie spotkały jeszcze żadnego organizmu obdarzonego świadomością, który przejawiałby podobne uczucia. By wyrazić swoje uznanie, zawierają z panem umowę.

–Ze nie podbija Ziemi, dopóki ja żyję – powiedział Quail.

–Otoż to. Psychiatra zwrócił się do oficera Interplanu:

–On udaje lekceważenie, ale sam pan widzi: ten wymysł pasuje do jego osobowości.

–Więc przez samo swoje istnienie – powiedział Quail z rosnącym zadowoleniem – po prostu dlatego, że żyję, chronię Ziemię przed najazdem. Czyli jestem najważniejszą osobą Terry. Bez kiwnięcia palcem.

–Właśnie tak, proszę pana – potwierdził psychiatra. – I to jest rdzeń pańskiej psychiki: dziecięca fantazja, która przetrwała lata. Zdolał pan ją sobie przypomnieć pod wpływem silnych środków. Ale ten sen cały czas istniał w pana podświadomości, nigdy nie zanikł zupełnie. Oficer policji zwrócił się do McClane'a, który cały czas słuchał uważnie.

–Czy potraficie umieścić mu w pamięci tak niezwykle zdarzenie?

–Do nas przychodzą ludzie z najróżniejszymi pragnieniami – odparł McClane. – Jeśli mam być

szczerzy, słyszałem już o wiele gorsze. Poradzimy sobie z tym, jak najbardziej. Za dwadzieścia cztery godziny on będzie świecie przekonany, że zbawił Ziemię.

–Może pan zacząć – powiedział oficer policji. – W ramach przygotowań już wymazał mi z pamięci podróż na Marsa.

–Jaka podróż na Marsa? – spytał Quail.

Nikt mu nie odpowiedział, więc odłożył pytanie na później. Zreszta właśnie zjawił się pojazd policyjny. Do środka wsiadł Quail, za nim McClane i oficer policji. Jechali do Reminiscenter Incorporated w Chicago.

–Lepiej niech pan nie zrobi błędu tym razem – powiedział oficer do tłustego, spoconego ze zdenerwowania McClane'a.

–Nie widzę powodu, by miało się nie udać – wymamrotał McClane.

–To nie ma nic wspólnego z Marsem ani z Interplanem. Po prostu, samotne powstrzymanie inwazji przybyszów z innego systemu gwiazdowego – potrząsnął głową. – Czego to dziecko nie wymyśli. I bez użycia siły, tylko samo dobro. Ciekawe – przyłożył wielką lnianą chustkę do czoła. Przez chwilę nikt nic nie mówił.

–Właściwie – odezwał się McClane – to jest wrzuszające.

–Ale jakie egoistyczne – powiedział oficer z przekonaniem. – Kiedy on umrze, nastąpi inwazja. Nic dziwnego, że tego nie pamiętał. To najbardziej megalomanska fantazja, z jaką się spotkałem. Popatrzył na Quaila z dezaprobatą.

–I my mieliśmy tego człowieka na liście plac. Gdy weszli do Reminiscenter, recepcjonistka Shirley wstrzymując oddech wyszła im na spotkanie.

–Witamy ponownie, panie Quail – powiedziała z drzeniem. Jej okrągłe piersi – pomalowane tego dnia na pomarańczowo – falowały z emocji.

–Przykro mi, że tak fatalnie wypadło ostatnim razem. Teraz na pewno się powiedzie. Raz po raz przyciskając złożoną starannie chusteczkę do błyszczącego czoła, McClane mruknął:

–Bo jak nie...

W wielkim pośpiechu odnalazł Lowe'a i Keelera; odprowadził ich wraz z Douglasem Quaiem do laboratorium. Potem wrócił z Shirley i oficerem do biura, by czekać.

–Czy mamy do tego specjalny zestaw? – spytała Shirley. Potraciła go niechcący i skromnie się zarumieniła.

–Myślę, że mamy. – McClane usiłował przypomnieć sobie numer, ale w końcu sprawdził w rozkładzie.

–Kombinacja – powiedział. – Zestawy nr 81, 20 i 6.

Zszedł do podziemi, by je odszukać. Gdy wrócił, położył paczki na biurku i zaczął

sprawdzac ich zawartosc.

–Z zestawu nr 81: magiczna różdzka do uzdrawiania – oznajmil. – Nasz klient, czyli w tym przypadku pan Quail, otrzymał ją od przybyszów z innego systemu gwiazdowego. W dowód wdzięczności.

–Czy ta różdzka działa? – spytał z zaciekawieniem oficer policji.

–Kiedys działała. Niestety, hm, zużył ją uzdrawiając, kogo popadnie, i teraz to tylko pamiątka. Ale on świetnie sobie przypomina jej cudowne działanie. Zasmiał się cicho i otworzył zestaw nr 20.

–Oto list podpisany przez Sekretarza Generalnego ONZ, z podziękowaniem za ocalenie Ziemi. Nie jest to całkowicie zgodne z treścią fantazji Quaila, gdzie nikt prócz niego nie wie o żadnej inwazji, ale damy mu ten dokument, by zwiększyć wiarygodność.

McClane otworzył zestaw nr 6. Nie mógł sobie przypomnieć, co w nim było. Ze zmarszczonymi brwiami grzebał w plastikowej torbie; Shirley i oficer Interplanu obserwowali go z uwagą.

–Jakieś pismo – powiedziała Shirley. – W dziwnym języku.

–Tu jest napisane, kim byli przybysze i skąd przylecieli – wyjaśnił McClane. – Jest też mapa z oznaczeniem trasy lotu z macierzystego systemu aż tutaj. Oczywiście wszystko wyrażone w ich języku, więc nie da się tego rozszyfrować. Ale on pamięta, jak ci przybysze mu to odczytywali. Ułożył wszystkie trzy przedmioty pośrodku biurka.

–To ma być podrzucone w jego mieszkanie – powiedział do oficera.

–Żeby Quail znalazł te przedmioty, gdy wróci. Potwierdza jego fantazje. Zwykła procedura. Zasmiał się myślarz jednocześnie, jak radza sobie Lowe i Keeler. Zabrzeczal interkom.

–Przepraszam, że panu przeszkadzam – to był głos Lowe'a. McClane'a zmroziło, gdy go

rozpoznał. Zaniemówił.

–Wynikły nieprzewidziane okoliczności. Lepiej, żeby pan przy tym był. Tak jak poprzednio, Quail

dobrze znosi narkidryne. Jest uspiozony, odprezony i podatny, ale...

McClane wybiegl z pokoju.

W laboratorium, na kozetce lezal Douglas Quail. Oczy mial przymkniete; oddychal powoli i regularnie. Byl prawie nieswiadomy obecności innych osób.

–Zaczelismy go wypytywac – powiedzial pobladly Lowe. – Zeby dokladnie ustalic czas

pamieciowy, w którym umiescimy jego fantazje o uratowaniu Ziemi. Wtedy, dziwna rzecz...

–Kazali mi o tym nie mówic – wymamrotal Quail monotonnym, stepionym narkotykami glosem. – Tak ustalilismy. Mialem nawet o tym nie pamietac. Ale jak mógłbym zapomniec takie spotkanie? Bylo ci trudno, pomyslal McClane. Jednak nie pamietales do tej pory.

–Dali mi taki zapisany zwój – Quail dalej mamrotal. – Mam go w mieszkadle, pokaze wam. Zwracajac sie do oficera Interplanu, który za nim przyszedl, McClane powiedzial:

–Dam panu dobra rade: lepiej go nie zabijajcie. Gdy to zrobicie, tamci wróca.

–I dali mi niewidzialna różdzke niszcza – mruccal Quail z zamknietymi oczami. – Z jej pomoca zalatwilem na Marsie tego faceta, którego kazaliscie mi zlikwidowac. Ta różdzka jest w szufladzie. Tam, gdzie pudelko z dzdzownicami. Oficer Interplanu bez slowa wyszedl z laboratorium.

Moge sobie schowac te zestawy dowodów, z rezygnacja powiedzial do siebie McClane. Wolnym krokiem szedl do swego biura.

...Lacznie z listem pochwalnym od Sekretarza ONZ. Przeciez... wkrótce nadejdzie taki sam list. Autentyczny.

This file was created with BookDesigner program

bookdesigner@the-ebook.org

2011-02-24

LRS to LRF parser v.0.9; Mikhail Sharonov, 2006; msh-tools.com/ebook/